POZDRAWIAMY ZDOBYWCÓW KOSMOSU

Fot. CAF

Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 29 (1603) Warszawa, wtorek, 11 kwietnia 1967 r. Cena 50 gr

JUTRO przypada Dzień Kosmonauty. Obchodzą go nie tylko ci, którzy odbyli już podróż kosmiczną — 12 kwietnia jest również świętem tysięcy naukowców, inżynierów, robotników, tych wszystkich, których praca i wysiłek twórczy przyczynia się do urzeczywistnienia największego marzenia — lotu do innych planet.

Dzięki nim byliśmy świadkami największych sensacji naukowych i technicznych ostatnich lat: wystrzelenia pierwszego sputnika, lotów kosmicznych wokół Ziemi, miękkiego lądowania „Łuny-9" na Srebrnym Globie i dziesiątków innych wspaniałych osiągnięć. W dniu święta Kosmonautyki życzymy im, aby planowana wyprawa na Księżyc odbyła się szczęśliwie.

Na zdjęciu przedstawiamy radzieckich kosmonautów — bohaterów Kosmosu.

W pierwszym rzędzie od lewej stoją: W. Komarow, J. Gagarin, W. Tierieszkowa-Nikołajewa, A. Nikołajew, K. Fieoktistow, P. Bielajew. W drugim rzędzie od lewej stoją: A. Leonow, H. Titow, W. Bykowski, B. Jegorow i P. Popowicz.

Dziś str. 4—5 poświęcona jest w całości problemom wypraw kosmicznych.

Foto: CAF

DARY Z DALEKIEGO REJSU

Gdyby aligatory te były żywe, szczególnie zaś ten duży, sądząc po jego ostrych zębach — nie bardzo bezpiecznie byłoby go trzymać w rękach, jak to właśnie czyni cieśla statku M/s „Żeromski". Pan Zygmunt Słonimski przywiózł z 90-dniowego rejsu do zachodnich portów Ameryki Południowej 3 wypchane aligatory i ofiarował je szkole im. W. Broniewskiego w Gdyni. Załoga statku przywiozła w darze dla oliwskiego ogrodu zoologicznego kilkanaście żywych okazów zwierząt południowo-amerykańskich.

POŻYTECZNE PAJĄKI

Angielscy przyrodnicy w wyniku licznych obserwacji stwierdzili, że pająki więcej niszczą szkodliwych owadów, niż wszyscy inni ich niszczyciele łącznie z ptactwem i zwierzętami.

Kocham Polskę i Afrykę

KIEDY jeszcze mieszkałam w Kairze, bardzo rzadko Cię czytałam. Od dwóch miesięcy jestem tu, w tej bliskiej, ale jakże dalekiej dla mnie Polsce.

Teraz mieszkam wśród Was i jestem szczęśliwa, że chodzę do polskiej szkoły.

Wypada mi się przedstawić. Nazywam się Ewa Branicka. Mój tatuś jest inżynierem w Afryce, mama lekarzem. Jestem jedną z czworaczków. Mam trzech braci: Adama, Romka i Karola. Każdy z naszej czwórki liczy 13 i pół roku.

W Polsce byłam już cztery razy. Niestety, długo nie zostanę w kraju. Po wakacjach jedziemy znowu do drugiej — czarnej — ojczyzny.

Kocham Polskę i Afrykę. Obie są piękne i drogie. Z mego rodzinnego kraju zawiozę mej przyjaciółce Murzynce wymarzoną przez nią lalkę-krakowiankę.

Znam kilka narzeczy języka afrykańskiego, doskonale angielski, bo mówię nim od dziecka, polski, niemiecki i francuski.

Chciałabym, „Świecie Młodych", abyś wiedział, że polskie nastolatki, mieszkające poza granicami kraju, bardzo Cię kochają, chociaż rzadko docierasz do nich Twoje pismo.

W Afryce upał, tu nie jest tak gorąco. Pomarańcze, daktyle, banany i figi są tu rzadkością, a granatów i orzechów kokosowych wcale nie ma ale za to w Polsce są pyszne jabłka, gruszki i śliwki.

Dużo prezentów powędruje ze mną do Afryki. Janek Krostecki, Witek Markowski, Hania i Tomek Janiccy czekają na nie z utęsknieniem. Zawiozę im i moim kolegom afrykańskim numery Twojego pisma.

Polacy są miłymi, szczerymi i gościnnymi ludźmi. Nigdy nie zapomnę o Polsce, a w przyszłym roku znów przyjadę do kraju, ale tylko na miesiąc.

Kiedyś wrócę tu na stałe.

Bądź zdrów, najlepszy przyjacielu młodzieży! Nie zapomnij o nas, Polakach, mieszkających za granicą kochanej Ojczyzny. (r. j.)

EWA BRANICKA i bracia bliźniacy:

KAROL, ADAM, ROMAN

List z walczącego Wietnamu

DRODZY POLSCY KOLEDZY

NAZYWAM SIĘ Vu Van Thang. Mieszkam w Demokratycznej Republice Wietnamu, gdzie obecnie toczy się walka przeciw najeźdźcom amerykańskim.

Czytając dzienniki pionierskie i słuchając naszego radia, dowiedziałem się, że obecnie w całej Polsce rozwija się akcja na rzecz pomocy dla walczącego narodu wietnamskiego. Dowiedziałem się też, że w tej akcji, obok starszych, biorą też udział dzieci polskie.

Chciałbym wam za to podziękować bardzo gorąco, **jako naszym przyjaciołom i kolegom**, i powiedzieć, że podziwiam was za to wszystko, co robicie dla nas.

Wiecie o tym, że Amerykanie ciągle bombardują nasz kraj, że zrzucają na niego codziennie setki ton bomb, a przecież nasz kraj nie zagraża Stanom Zjednoczonym i leży od niego tak daleko...

Amerykanie prowadzą przeciw naszemu krajowi okrutną wojnę, a przecież nasz naród chce tylko być wolnym i żyć w pokoju.

W czerwcu ubiegłego roku Amerykanie zwiększyli liczbę swych zbrodni bombardując kilka miejscowości położonych w pobliżu Hanoi oraz przedmieścia Hanoi. Kilka miesięcy później, to znaczy w grudniu ub. roku, imperialiści amerykańscy zbombardowali ponownie kilka dzielnic naszej stolicy Hanoi. Byłem naocznym świadkiem tych barbarzyńskich bombardowań. Na własne oczy widziałem dokonane zniszczenia. Setki domów stojących wzdłuż obu brzegów Rzeki Czerwonej, płynącej przez Hanoi, zostało spalonych lub zburzonych. Widziałem też wiele domów spalonych i zniszczonych w centrum stolicy.

My, dzieci wietnamskie, bardzo cierpimy, bo nasze serca rozdzierają się z bólu, kiedy patrzymy na te bolesne zniszczenia. W takich prowincjach, jak Quang Dinh, Vinh binh, Thanh hoa wiele szkół zostało zbombardowanych, a wiele z nich było bombardowane wielokrotnie. Nasi koledzy z tych prowincji muszą uczyć się w nocy.

Ale my, uczniowie szkół wietnamskich, postanowiliśmy przezwyciężyć trudności, aby osiągnąć jak najlepsze wyniki w nauce i czynnie pomagać dorosłym w pracy i w walce. Staramy się wykonać wszelką pracę zgodnie z naszymi możliwościami.

Chciałbym dowiedzieć się coś o waszym życiu, o tym, jak się uczycie, jak spędzacie czas wolny? Bardzo, bardzo chciałbym się o tym dowiedzieć od was.

Czekam niecierpliwie na waszą odpowiedź. Możecie pisać do mnie po rosyjsku.

Ściskam mocno waszą dłoń —

Wasz przyjaciel
Vu Van Thang

Mój adres:
Vu Van Thang
108 Hang gai —
Hanoi, Wietnam

Hanoi, 21 stycznia 1967r.

KLUB NASTOLATKÓW

„INNA" nie ma racji

JEDNA z naszych klubowych koleżanek napisała kiedyś bardzo piękny artykuł o „inności". Naprawdę, bardzo mi się on podobał — znalazłam w nim siebie (i na pewno nie tylko ja). Jednak, po głębokim zastanowieniu, doszłam do innych wniosków.

Uważam, że jeżeli wielu czytelników „Świata Młodych" znalazło tam siebie (bo

Foto W. Hudon

w to wcale nie wątpię), to znaczy, że tych wielu łączy jakaś wspólna cecha. Różne wspólne cechy ludzkich charakterów pozwalają na powstawanie tzw. „złotych myśli", które są niczym innym, jak podsumowaniem dłuższej obserwacji człowieka.

Autorka tamtego listu wspomina o braku koleżeńskości i nietaktownym zachowaniu klasy. To da się zaobserwować i w naszej klasie, ale nie biorę tego tak na serio. Każdy człowiek ma taki dzień, w którym chce mu się wariować, szaleć, krzyczeć, czy śpiewać. Ma też dzień bardzo smutny, pechowy, taki, w którym zastanawia się nad życiem. W takim melancholijnym usposobieniu, w trakcie obserwowania opszalejącej przed dzwonkiem klasy, każdy na pewno posądzi siebie o swoje wyodrębnienie, o swoją inność.

W innym zaś czasie ten sam, niegdyś smutny człowiek, przeżywając swój zwariowany dzień, poddaje się sądom swoich, kiedyś wesołych, dziś melancholijnych kolegów.

Każdy człowiek nosi w sobie mniemanie o inności swojego charakteru. Tak, „Inna" ma w tym trochę racji, bo gdyby każdy myślał tak samo, to byśmy się ciągle bili, lub też istniałyby niezliczone szeregi leniów, nieuków itp. Albo świat nasz zaszczycony byłby obecnością niezrównanej armii naukowców, wynalazców itp. A ponieważ i naukowców i leniów mamy z umiarem, to musi nas coś różnić.

Tak, i tu zgadzam się z moją koleżanką, ale tylko trochę, bo twierdzę, że: ludzie mają dużo cech różniących ich, które pozwalają im stworzyć jaką taką inność, ale mają wiele i takich, które mówią o ich tożsamości ze sobą.

Nie wiem, może moje myśli są błędne, niezgodne z myślami filozofów, jednak uważam, że myślę słusznie. Uważam, że „Inna" nie powinna brać tak do serca wszystkich nastrojów klasy, lecz ciągle szukać dróg do serc swoich rówieśników, którzy na pewno pokazaliby jej zarówno swoją inność, jak i tożsamość z nią samą.

Wcale nie pragnę wydrukowania mojego listu. Wiem, że on na to nie zasługuje. Na pseudonimie także mi nie zależy. bs)

HANKA KULAWIECKA
z Nowego Sącza (14 lat)

PONIEWAŻ nie chcę konkurować z tymi, którzy biorą udział w konkursie pt. „Nasz jeden dzień" i opisują wszystko co się zdarzyło 29 marca, pozwólcie, że ja opiszę wam to, co przeżyłam dzień później, czyli 30 marca. A ponieważ 30 marca podróżowałam właśnie samochodem będzie to relacja z podróży, ale o jak kto woli:

„Skromny dziennik mojej wyprawy z Warszawy do Łodzi i z Łodzi do Warszawy".

30 MARCA, czwartek, imieniny obchodzą Jan i Amelia, słońce wstało o godzinie 5,20, ja nieco później. O godzinie 7,40 zajmuję miejsce w samochodzie marki „Warszawa". Siadam obok kierowcy. Po drodze mijamy na ulicach Warszawy dorosłych idących do pracy i młodzież biegnącą do szkół. Wszyscy się spieszą, więc kierowca musi bardzo uważać. Narzeka, że przechodnie nie przechodzą po pasach. Ciekawe, że pasów trzymają się przeważnie maluchy i tacy zupełnie już dorośli. Chłopcy w wieku big-beatowym chodzą na ogół jak chcą — w miejscach niedozwolonych, na ukos. Jeden, z czerwoną tarczą na rękawie, wyskakuje nagle z pomostu jadącego tramwaju i tuż przed maską samochodu przeskakuje

przez jezdnię. Kierowca hamuje i stwierdza, że nie lubi licealistów.

NIECO PÓŹNIEJ na drodze E8. Przed chwilą wyjechaliśmy na szosę. Naciskamy klakson, bo przed nami biegnie jakiś samotny pies. Nawet rasowy. Owczarek alzacki w obroży i kagańcu. Pewnie uciekł swojemu panu w czasie porannego spaceru. Nie reaguje na sygnały klaksonu, nagle i nieoczekiwanie skręca tuż przed samochodem. Kierowca hamuje i mówi, że nie przepada za psami. Potem mówi to samo o kurach spacerujących po szosie i o prosiaku, którego usiłuje złapać jakiś gospodarz.

SOCHACZEW. Nie spojrzałam na zegarek, więc nie wiem, która godzina

ale przed chwilą przejechaliśmy właśnie koło jakiejś szkoły. Sądzę, że była pauza, bo przed szkołą kręciło się kilka dziewcząt. Przed szkołą, to znaczy na chodniku i na jezdni. Na samochody nie zwracały żadnej uwagi. Zdaje mi się, że kierowca powiedział o nich coś niepochlebnego, ale może się przesłyszałam.

Jak dmuchałem w balonik?

SAMOCHODU NIE PROWADZĘ, alkoholu nie pijam, nigdy więc do tej pory nie dmuchałem w balonik, ani nawet nie widziałem, jak to robią inni.

Ucieszyłem się więc, kiedy pani mgr Maria Z., z kolejnej pracowni Zakładu Kryminalistyki KG. MO, zaproponowała mi taki właśnie eksperyment.

— Jeśli milicjant podejrzewa kierowcę, że prowadzi w stanie nietrzeźwym samochód, zatrzymuje go i każe dmuchać w ten oto prosty przyrząd — wyjaśnia pani Maria wręczając mi szklaną ampułkę wypełnioną jakąś krystaliczną solą.

A ponieważ kierowca mógłby udawać tylko, że dmucha, więc na drugim końcu ampułki umocowuje się taki oto balonik. Proszę spróbować teraz go nadmuchać.

Przyznam się, że bardzo się nameczyłem i potężnie musiałem wytężać płuca, zanim udała mi się ta sztuka.

— I co? — zapytałem rozczarowany. Balonik nadmuchany, a nic z tego nie wynika.

— Bo pan, redaktorze, nie pił. Gdyby jednak wczoraj wieczorem był pan na przyjęciu z alkoholem, dziś ta sól w ampułce zmieniłaby barwę.

— Jak to się dzieje?

— Alkohol rozpuszcza się we krwi. Krew zaś krążąc po organiźmie, dociera między innymi do płuc, gdzie się utlenia, a równocześnie para alkoholu się ulatnia i wydzielana jest z oddechem.

Rzecz jasna, „balonik" odpowiada milicji tylko na pytanie, czy zatrzymany kierowca pił. To nam jednak nie wystarcza. Od ilości spożytego alkoholu zależy opóźnienie refleksu, zaburzenia równowagi i spostrzegawczości, a więc stopień zagrożenia, możliwość spowodowania wypadku przez pijanego kierowcę.

Dlatego milicjant po próbie z balonikiem odprowadza nietrzeźwego kierowcę do pogotowia ratunkowego. Tam pobierają delikwentowi krew i nam przesyłają. Badanie krwi wykazuje dokładne promille*) alkoholu.

— Skoro już mowa o wypadkach drogowych — włączył się do rozmowy płk Adamczak — zaprowadzę panów jeszcze do pracowni fotogrametrycznej, gdzie mamy ciekawą aparaturę do odtwarzania wypadków drogowych.

Panią Krysię zastaliśmy przy dziwnym urządzeniu, składającym się jakby z dwóch części. Pierwsza przypomina fotoplastikon — druga skomplikowaną maszynę do powiększania rysunków.

— Być może obserwował pan kiedyś czynności milicji na miejscu wypadku drogowego — zaczęła objaśniać pani Krystyna. — Oprócz dokonania dokładnych pomiarów, przesłuchania świadków i podejrzanych, milicjanci fotografują miejsce wypadku przy pomocy aparatów sterostopowych. Proszę spojrzeć w te okulary...

— Patrzę — tak jak to robi p. Krystyna na fotografii — i rzeczywiście widzę dokładny obraz szosy, z zachowaniem pełnej perspektywy zupełnie jak w fotoplastikonie. Na szosie zaznaczono miejsce, gdzie nastąpił wypadek, jakieś ślady...

— To od gwałtownego hamowania — wyjaśnia pani Krysia.

— A teraz proszę dokładnie się przyjrzeć. Czy na fotografii widzi pan jakby małą literkę „T"?

— Tak, ale myślałem, że to jakaś rysa na kliszy.

— A teraz proszę lewą ręką pokręcić tym kołem. Robię to i literka „T" zaczyna się poruszać, a wraz z nią uruchamia się druga część instrumentu, rysując na rozpiętym, olbrzymim arkuszu papieru taką linię po jakiej poruszyła się literka „T".

— W ten sposób, umiejętnie operując pokrętłami, możemy z pary fotografii stereoskopowej wykonać bardzo dokładny plan, już w dwóch wymiarach.

— Plan jest tak dokładny — uzupełnia płk Adamczak, że na 100 m. długości szosy, możliwość popełnienia błędu nie przekracza 5 cm.

Na jednej ze ścian, zauważam rozpięty taki właśnie plan. Jest długi na 4 czy nawet 5 m.

— Czy to plan jakiegoś konkretnego wypadku?

— Tak. Może pan pamięta... Zdarzył się w województwie zielonogórskim. Autobus kursujący na trasie Londyn — Poznań spadł z mostu do rzeki.

Ten plan odtwarza to wydarzenie. Przy jego pomocy możemy obliczyć dokładną szybkość jazdy w momencie wypadku (wynosiła ona 87 km/godz.), każde wzniesienie i spadek szosy, każdy zakręt, (a więc stopień widoczności) i wiele innych szczegółów niezbędnych dla wyjaśnienia sprawy.

Siadam jeszcze raz przy aparacie fotogrametrycznym i próbuję na nim popracować, ale literka „T" wcale nie chce mnie słuchać i porusza się nie tam, gdzie ja chcę. Wstaję zniechęcony. Moje miejsce zajmuje pani Krystyna. Pod jej wprawną ręką literka „T" od razu pokornieje i zmierza w pożądanym kierunku.

Po paru godzinach pracy kolejny plan będzie sporządzony.

JERZY B. KLIMA

Fotografie — Jerzy Dąbrowski

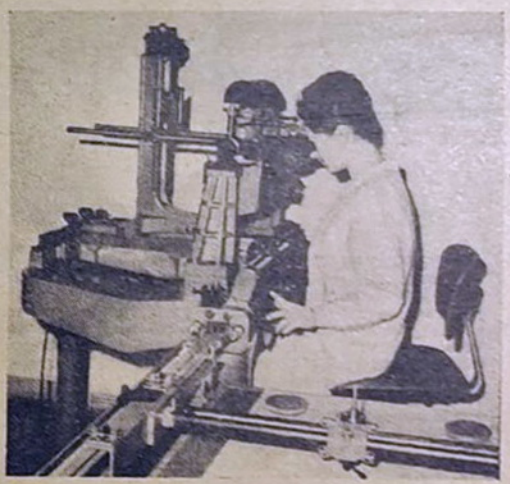

*) Promille = 1/10 procenta.

ŁOWICZ. Minęliśmy Sochaczew i aż do Łowicza nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Ponieważ musimy załatwić tu kilka spraw, w dalszą drogę wyruszamy koło godziny 11-tej.

GODZINA 11,05. Mijamy małe grupki młodszych dzieci, które skończyły już lekcje. Na ogół idą spokojnie, ale kilku chłopców obskakuje wiejską furmankę. Położyli na niej tormistry, biegną tuż przy kołach, któryś usiłuje wskoczyć w biegu. Zastanawiamy się, dlaczego woźnica na to pozwala, i nagle widzimy; że chłopak, który usiłował wskoczyć na wóz, leży na szosie. Kierowca zatrzymuje „Warszawę", woźnica furmankę. Chłopak ma rozbite kolano, woźnica krzyczy: — Nie mogłeś uważać?! — Okazuje się, że to scena rodzinna między synem i tatą. A tatuś, proszę tatusia, nie mógł zabronić tej zabawy?

AŻ DO ŁODZI kierowca opowiada o rozmaitych swoich perypetiach z furmankami. Najgorzej jest podobno w nocy. A to furmanka nie oświetlona, a to woźnica śpi jak suseł. No, ale my jedziemy na szczęście w dzień...

DROGA POWROTNA. Opuszczamy Łódź koło godz. 16-tej. W mieście bardzo duży ruch, na szosie na ogół pusto. Między Strykowem i Głownem spostrzegamy kilkunastoletniego rowerzystę holowanego przez ciężarówkę. Jedzie z szybkością 60 km/godz., jedną ręką trzyma się kierownicy, drugą uczepił się burty ciężarówki i w dodatku jeszcze rozmawia z facetem jadącym na ciężarówce. Naciskamy klakson dając znak kierowcy, żeby zareagował. Zrozumie, czy nie zrozumie? Widocznie zrozumiał, bo widzę przez tylną szybę wozu, że rowerzysta odczepił się i jedzie już teraz z taką szybkością, jaką może rozwinąć rower. Kierowca kwituje ten incydent powiedzeniem, że jak się jedzie na rowerze, to trzeba mieć nie tylko w nogach, ale i w głowie.

ŁOWICZ PO RAZ DRUGI. Pisk opon... No, całe szczęście, że kierowca zdążył zahamować! Między kołami „Warszawy" leży piłka, na środku szosy chłopak, który po tę piłkę wyskoczył. Reszta piłkarskiej drużyny stoi tuż obok szosy. — Co jest do wielkiej anielki, drużyna piłkarska czy klub samobójców?! Nie macie tutaj żadnego boiska? — Ale potem kiedy przejeżdżamy przez Łowicz widzimy, że boiska są. Śliczne, pięknie utrzymane, ogrodzone wysoką siatką. Tylko, że wszystkie niestety puste i zamknięte...

NO, NARESZCIE WARSZAWA. Dziękuję kierowcy, wracam do domu i przepisuję na czysto notatki z podróży.

KAROLINKA

SKA-FAN-DER

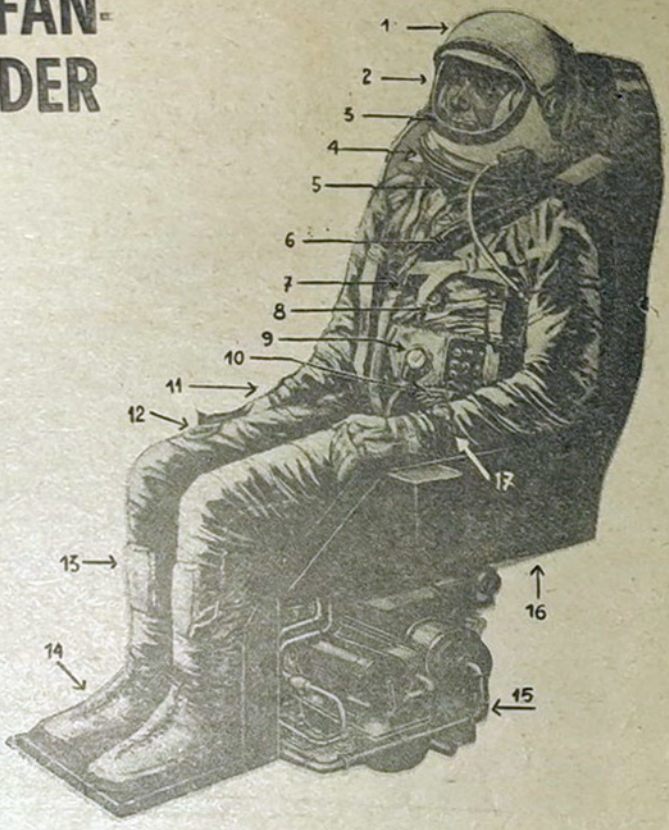

PRZESTRZEŃ KOSMICZNA stanowi dla człowieka niegościnny a nawet groźny obszar. Bez odpowiedniego zabezpieczenia kosmonaucie groziłaby tam natychmiastowa śmierć. Ochronę tę stanowią: kabina statku i skafander. Wewnątrz pojazdu stworzony jest sztuczny mikroklimat odpowiadający warunkom panującym na powierzchni Ziemi — odpowiednia mieszanina gazów, ich ciśnienie, temperatura, wilgotność. Praktycznie więc już sama kabina stanowi wystarczające zabezpieczenie. Jednakże w wypadku przebicia jej przez meteor, znajdujące się wewnątrz gazy uleciałyby natychmiast w przestrzeń kosmiczną. Dlatego też każdy kosmonauta ubrany jest jeszcze w skafander, który stanowi jakby dodatkową kabinę. Stanowi on bardzo skomplikowane urządzenie. Przypatrzcie się, jak wygląda skafander.

1 — część twarda hełmu wykonana z metalu lub tworzywa sztucznego Pod nim znajduje się miękki czepiec nakładany bezpośrednio na głowę; 2 — szyba przednia, ruchoma, którą w razie potrzeby można opuścić pod brodę; 3 — mikrofon. Z boku hełmu znajdują się słuchawki radiowe; 4 — miejsce, w którym hełm zostaje przykręcony do skafandra; 5 — uszczelnienie gumowe; 6 — specjalny zamek błyskawiczny, który po rozsunięciu umożliwia włożenie i zdjęcie skafandra; 7 — skórzane pasy; 8 — rejestracja ciśnienia krwi; 9 — zamykany otwór wentylacyjny; 10 — drugi zamek błyskawiczny; 11 — rękawiczki, podobnie jak cały skafander, zrobione są z materiału miękkiego, tak aby palce miały swobodę ruchów. Cały skafander pokryty jest warstwą metaliczną w celu skuteczniejszej ochrony przed niebezpiecznym promieniowaniem kosmicznym;1 2 — punkt kontrolny, rejestrujący dane z dziedziny medycznej; 13 — ochraniacze przed ewentualnym uderzeniem; 14 — lekkie i miękkie buty pokryte z zewnątrz warstwą metaliczną; 15 — urządzenie utrzymujące właściwe ciśnienie, wilgotność i zawartość tlenu wewnątrz kabiny statku i wewnątrz skafandra; 16 — fotel; 17 — urządzenie wskazujące ciśnienie wewnątrz skafandra.

Na pokładzie statku kosmicznego

WYPRAWY W KOSMOS

GAZETKA POPULARNO-NAUKOWA NR 17 ROK 1967 OPR. ST. BOROWIECKI

Tak wygląda statek kosmiczny z serii „Wostok". Ciężar jego wynosi 4625 kg, a łącznie z ostatnim członem rakiety nośnej — aż 6170 kg!

Przyrządy pomiarowe, (jest ich ponad 300), zainstalowane na pokładzie „Wostoka", ważą około dwóch ton. Ostatnie dwie wyprawy radzieckie w Kosmos odbyły się udoskonalonymi statkami z nowej serii „Woschod".

Tradycyjnie każdego roku w kwietniu piszemy o problemach podboju Kosmosu. 12 kwietnia — rocznica pierwszej w dziejach wyprawy kosmicznej Jurija Gagarina — uznany został za dzień kosmonauty. Od tamtego historycznego dnia upłynęło zaledwie 6 lat, a niecałe 10 lat od wystrzelenia pierwszego sputnika. Dla cywilizacji ziemskiej, liczącej sobie kilka tysięcy lat, jest to okres niezwykle krótki. Niemniej w tych 10 latach zawarte są niezwykle większe osiągnięcia techniczne współczesnej epoki.

W tej chwili spośród nas, Ziemian, aż 31 ludzi było już TAM i widziało swoją rodzinną planetę z Kosmosu. Z każdym rokiem będzie ich coraz więcej. Najbliższy cel kosmonautów — wyprawa na Księżyc!

PONAD 1000 OBIEKTÓW KRĄŻY W KOSMOSIE

W CIĄGU prawie 10 lat wystrzelono poza Ziemię kilkaset mikroksiężyców, próbników międzyplanetarnych i innych aparatów. Część z nich spłonęła w atmosferze ziemskiej, inne rozrzaskały się na Księżycu lub poleciały daleko w przestrzeń międzyplanetarną, jeden nawet trafił w Wenus. Jednakże spora gromada satelitów, pustych rakiet nośnych, stożków ochronnych i innych części krąży wciąż wokół Ziemi. Według najnowszych danych z naszej planety można dostrzec obecnie 1119 różnych obiektów wysłanych przez człowieka. Sześć z nich widać wyraźnie (są to satelity — balony), 243 można dostrzec dość często, a resztę (870 sztuk) — od czasu do czasu. W każdym razie — liczba imponująca.

OD SAMEGO POCZĄTKU rozwój kosmonautyki zmierza w jednym kierunku — do wylądowania człowieka na innej planecie. Najbliższym Ziemi ciałem niebieskim jest Księżyc, odległy średnio o 384 tys. km. Dlatego też Srebrny Glob stał się pierwszym celem podróży Ziemian.

W zdobywaniu Księżyca warto zapamiętać kilka historycznych dziś już dat. 12 września 1959 roku radziecki statek „Łunnik-2" trafia precyzyjnie w tarczę Księżyca. Był to pierwszy obiekt ziemski, który dotarł na inne ciało niebieskie. W kilka tygodni później (4.X) „Łunnik-3" fotografuje niewidoczną z Ziemi drugą stronę Srebrnego Globu.

Lata następne to próba osadzenia na powierzchni Księżyca laboratoriów naukowych. Niestety, zarówno radzieckie „Łunniki" jak i amerykańskie „Rangery" (w sumie 7 aparatów) rozbijają się o księżycowy grunt. Dopiero 3 lutego 1966 roku, po raz pierwszy w historii, radziecka stacja „Łuna-9" miękko ląduje na obszarze Oceanu Burz i wysyła na Ziemię zdjęcia.

Operacja ta była największym osiągnięciem technicznym ubiegłego roku. W kilka miesięcy później radziecki eksperyment powtarzają Amerykanie, umieszczając na Księżycu „Surveyora-1".

Jak dostać się na Księżyc?

MIĘKKIE LĄDOWANIA automatycznych stacji są przedostatnim krokiem na drodze realizacji najważniejszego zadania — wylądowanie na Księżycu statku z załogą ludzką. Przygotowania do tej operacji trwają i w Związku Radzieckim i w Stanach Zjednoczonych. W tej chwili znane są nawet prawdopodobne sposoby dotarcia do Srebrnego Globu. Pierwszy sposób to lot bezpośredni na Księżyc, lądowanie i powrót na Ziemię. Wygląda to bardzo prosto, Ale obliczenia wykazują, że statek księżycowy dla trzech kosmonautów, łącznie z rakietami hamującymi i napędowymi, musiałby ważyć aż 70 ton! Z dalszych obliczeń wynika, że chcąc wysłać na Księżyc powyższy ciężar, trzeba dysponować trzystopniową rakietą nośną o masie startowej około 3000 ton! Budowa takiego kolosa, chociaż dziś już możliwa, byłaby bardzo kosztowna i trudna.

Drugi wariant lotu na Księżyc jest bardziej skomplikowany, ale znacznie tańszy. Przewiduje on wysłanie najpierw na orbitę wokółziemską kilku rakiet, z których zmontuje się w przestrzeni jeden pojazd księżycowy. Po tej operacji nastąpi z orbity start w kierunku Księżyca, lądowanie na jego powierzchni i powrót na Ziemię. Zaletą tego sposobu jest to, że można użyć do jego realizacji niewielkich stosunkowo rakiet, którymi już dziś dysponujemy.

Trzeci sposób (proponowany przez Amerykanów) jest zupełnie inny od dwóch poprzednich. Zakłada on lot z Ziemi w kierunku Srebrnego Globu i kiedy ekspedycja znajdzie się w pobliżu celu, statek wejdzie na orbitę okołoksiężycową. Od statku głównego oderwie się następnie niewielki pojazd z dwuosobową załogą i wyląduje na Księżycu. W tym czasie statek główny, pilotowany przez trzeciego kosmonautę, będzie stale krążył wokół Księżyca. Po krótkim pobycie na powierzchni Srebrnego Globu, dwuosobowa załoga wystartuje na orbitę i połączy się ze statkiem-matką. Dwaj kosmonauci przejdą następnie przez śluzę do statku głównego, a pojazd księżycowy zostanie odłączony, aby nie tracić niepotrzebnie paliwa na sprowadzenie go na Ziemię. Po tej operacji statek-matka włączy silnik i odleci w kierunku Ziemi. Lądowanie na powierzchni macierzystej planety odbędzie się już tradycyjnym sposobem.

Wariant amerykański ma jednak jeden moment niebezpieczny, a mianowicie, spotkanie powracającej z Księżyca rakiety ze statkiem-matką. Aż trudno sobie wyobrazić, z jaką precyzją musi być przeprowadzona cała operacja, aby doszło do tego spotkania. W przeciwnym wypadku dwuosobowej załodze małego statku groziłoby niebezpieczeństwo zagłady. Miejmy jednak nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Manewry spotkania dwóch statków w pobliżu Ziemi (z serii Gemini) zakończyły się całkowitym powodzeniem.

Pierwszym człowiekiem, który wyszedł w skafandrze na zewnątrz statku kosmicznego, był Aleksiej Leonow. Jego lot obok statku „Woschod-II", do którego przyczepiony był pięciometrową liną, trwał około 20 minut. Było to 18.III.1965 r. W tej chwili rekord przebywania w pustce kosmicznej poza statkiem należy do amerykańskiego kosmonauty Edwina Aldrina (na zdjęciu). Wynosi on 5 godzin i 36 minut. Kosmiczny spacer Aldrina odbył się 11.XI.1966 r. w czasie lotu „Gemini-XII".

Miejsce lądowania

NIE BAGATELNĄ SPRAWĄ jest wybór miejsca na przyszłe lądowanie. Księżycowa powierzchnia pokryta jest mnóstwem kraterów, rozpadlin, gór. Najrówniejszymi obszarami są tzw. morza księżycowe. Amerykanie są zdania, że najbezpieczniejszym miejscem do lądowania jest Morze Spokoju. Jest to rozległa równina nieco większa od powierzchni Polski. Morze Spokoju ma bardzo niewiele kraterów i jest prawie wolne od kopuł wulkanicznych i dolin. Jest to okoliczność ważna, ponieważ nierówności terenowe mogą zmylić radar statku zbliżającego się do lądowania.

Dwa inne obszary badane przez naukowców, to miejsce leżące w środku tarczy Księżyca, zwane Zatoką Środkową, oraz Ocean Burz na półkuli zachodniej. Tu właśnie wylądowały miękko „Łuna-9", „Surveyor-1" i „Łuna-13". Jednakże Zatoka Środkowa posiada stosunkowo dużą ilość kraterów a Ocean Burz otaczają wielkie kratery.

Na którym z tych trzech obszarów wyląduje ziemska ekspedycja, przekonamy się już w najbliższej przyszłości.

POWRÓT NA ZIEMIĘ...

...w ostatniej fazie lotu stanowi nadal trudny do rozwiązania problem. Statek w ruchu okołoziemskim posiada prędkość około 8 km/sek, czyli ponad 30 tys. km na godzinę. Jest to prędkość ogromna. Ziemię otacza warstwa atmosfery, coraz gęstsza im bardziej zbliżamy się do jej powierzchni. Powietrze, jak wiadomo, stawia znaczny opór dla poruszającego się ciała i to tym silniejszy, im szybkość jego jest większa. Gdyby statek kosmiczny bez hamowania wpadł w atmosferę, uległby rozgrzaniu do czerwoności, a nawet mógłby się spalić.

Najskuteczniejsze hamowanie zapewniają rakiety wsteczne. Całkowite jednak wyhamowanie statku kosmicznego silnikami rakietowymi prowadzi do dużych strat paliwa. W tej chwili stosuje się więc hamowanie rakietowe tylko w pierwszej fazie zejścia z orbity do lotu w kierunku Ziemi. Dalsze hamowanie przejmują spadochrony.

Atmosfera ziemska stwarza również dogodną sytuację w zastosowaniu innych rozwiązań. Jeden z nich polega na takiej konstrukcji statku, aby mógł on przejść przez atmosferę lotem ślizgowym jak szybowiec. Na razie trwają badania nad tego typu statkami.

Jeden z nich widzicie na zamieszczonym zdjęciu. Przypomina on trochę samolot, chociaż nie ma skrzydeł. Usterzenie oraz wyposażenie go w małe silniki rakietowe stwarza dogodne warunki do kierowania statkiem w czasie przejścia przez atmosferę i w momencie samego lądowania.

Każdy lot kosmiczny człowieka stwarza bardzo wiele trudnych, a zarazem ważnych dla życia kosmonauty, problemów. Jakie one są?

Przyspieszenie

MOMENT STARTU RAKIETY jest dla kosmonauty, znajdującego się w kabinie, bardzo nieprzyjemny. W ciągu bardzo krótkiego czasu potężne silniki nadają rakiecie olbrzymie przyspieszenie. Nie może to, oczywiście, pozostać bez wpływu na żywy organizm. Już nawet raptowne dodanie gazu w samochodzie odczuwają pasażerowie, jako „wciskanie" ciała w fotel, a co dopiero mówić w rakiecie, gdzie przyspieszenie jest setki razy większe.

Największy wpływ wywiera przyspieszenie na krew. W normalnych warunkach płynie ona swobodnie w naczyniach krwionośnych, odżywiając cały organizm. W czasie działania przyspieszenia krew przemieszcza się z jednej części organizmu do drugiej, powodując tym albo niedokrwienie albo przekrwienie. Może to doprowadzić do utraty przytomności lub nawet do krwotoków.

Co dało się zrobić dla złagodzenia skutków działania przyspieszenia? Okazuje się, że człowiek najlepiej znosi gwałtowny przyrost prędkości, jeśli ułoży się prostopadle (długością swego ciała) do kierunku działania przyspieszenia. Dlatego też we wszystkich kabinach fotele kosmonautów są tak skonstruowane, że człowiek zajmuje pozycję półleżącą. Kosmonauta po prostu leży w pozycji poprzecznej do kierunku lotu rakiety. Ma to znaczenie jedynie w czasie pracy silników, a więc w czasie startu i hamowania.

Obecne loty orbitalne wokół Ziemi wymagały rozwinięcia przez rakietę prędkości 8 km/sek. Jednakże w przyszłości, gdy człowiek będzie chciał polecieć na inne planety, prędkość rakiet musi wzrosnąć do co najmniej 11,2 km/sek. Trzeba będzie wówczas znaleźć dodatkowe sposoby zabezpieczające człowieka przed działaniem o wiele większych przyspieszeń. Badania prowadzi się obecnie już od dawna, na razie na zwierzętach — myszach, szczurach itp. Okazuje się, że organizm żywy zanurzony w cieczy wielokrotnie łatwiej znosi przyspieszenie. Np. małe ssaki zanurzone w cieczy wytrzymały przez 3 minuty przyspieszenie 75 razy większe od przyspieszenia ziemskiego. Inaczej mówiąc, ssaki zniosły 75-krotne zwiększenie ciężaru swego ciała. Są to potężne siły działające na organizm. Wyobraźcie sobie człowieka w tych warunkach. Jeśli waży on 70 kg, w czasie działania tego przyspieszenia ciężar jego ciała wzrósłby do ponad 5 ton! Jego ciało i krew nabrałyby gęstości ołowiu. Jednakże ani obecnie, ani w najbliższej przyszłości loty kosmiczne nie będą wymagały, aby rakiety nośne osiągały tak wielkie wartości przyspieszenia.

Nieważkość

ZUPEŁNYM przeciwieństwem pierwszej, i bardzo krótkiej na szczęście, fazy lotu, jest nieważkość. Zjawisko to występuje w czasie lotu orbitalnego, kiedy nie pracują silniki. Nieważkość do dziś stanowi największą trudność dla kosmonautów. Tylko pozornie może się wydawać, że to ogromnie przyjemnie, kiedy nie czuje się ciężaru swego ciała. Nasze mięśnie niemal od urodzenia przyzwyczajone są do pracy. Niezliczona ilość czynności, które wykonujemy codziennie, weszły nam w nawyk. Nikt nie zastanawia się przecież, co trzeba zrobić, aby przejść z miejsca na miejsce, lub wziąć do ręki filiżankę herbaty. Nasze mięśnie wykonują te prace automatycznie, bez udziału naszej świadomości.

Kiedy człowiek znajdzie się w stanie nieważkości, następuje więc całkowity chaos w koordynacji ruchów. Na przykład ruch ręki czy nogi wywołuje zupełnie inne efekty niż na Ziemi. Wszystkiego trzeba uczyć się na nowo, począwszy od poruszania się, aż do wykonywania odpowiednich prac.

Stan nieważkości wywołuje u niektórych ludzi reakcje psychiczne: uczucie lęku, niepokoju, zawroty i bóle głowy, rozdrażnienie. Stwierdzono również w tym stanie zmniejszenie ciśnienia krwi, wolniejsze bicie serca i wiele innych zmian. Na ogół wszystkie te zaburzenia ustępują po pewnym czasie przebywania w stanie nieważkości.

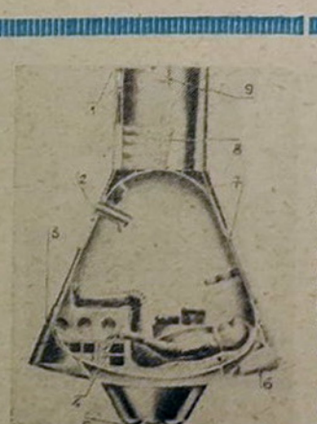

Tak wygląda ułożenie kosmonauty w kabinie statku. 1 — urządzenie zabezpieczające przed kołysaniem się statku; 2 — peryskop nawigacyjny; 3 — nadajniki i odbiorniki radiowe; 4 — dźwignia ręcznego sterowania; 5 — silniki hamujące; 6 — zabezpieczenie przed nadmiernym grzaniem się kabiny; 7 — wtłz do kabiny; 8 — spadochron; 9 — wizjer horyzontalny.

Opisane wyżej urządzenia kabiny stanowią, oczywiście, tylko skromną część całego wyposażenia statku kosmicznego.

„Zawisza" — taką nazwę nosiła organizacja młodszych harcerzy, którzy podczas okupacji działali w ramach Szarych Szeregów (kryptonim Związku Harcerstwa Polskiego). W samej tylko Warszawie działało około 2 tysięcy Zawiszaków. Nie brali oni w zasadzie bezpośredniego udziału w walce z okupantem, tak jak ich starsi koledzy z wyższych szczebli Szarych Szeregów. Rola Zawiszaków — to być zawsze gotowym, znać miasto, jego zaułki, być uważnym, spostrzegawczym, odważnym i sprawnym, dawać sobie radę w każdej sytuacji i pomagać innym.

Dopiero Powstanie Warszawskie zebrało wśród Zawiszaków krwawe żniwo. Zawiszacy zasłynęli zorganizowaniem Poczty Polowej, rozpoznaniami na przedpolu wroga, łącznością z odciętymi dzielnicami miasta.

Oto wspomnienie wojenne Jerzego Kasprzaka — warszawskiego harcerza z „Zawiszy", ilustrowane przez Jana Rockiego, również harcerza z Szarych Szeregów.

Zawiszacy

Napisał JERZY KASPRZAK

Rys. JAN ROCKI

BYŁO TO WE WRZEŚNIU 1943 ROKU. W stolicy przybierał na sile terror hitlerowców. Większość warszawskich rodzin boleśnie odczuwała brak bliskich — zamordowanych, wywiezionych do obozów koncentracyjnych lub na przymusowe roboty do Niemiec. Coraz też częściej rozlegały się na ulicach strzały i wybuchały granaty w hitlerowskich lokalach. Była to odpowiedź Polski Walczącej na akty gwałtu i przemocy faszystów wobec Polaków. Na murach domów i parkanach pojawiały się śmiałe napisy i symbole podjętej przeciwko Niemcom walki, pisane często w pośpiechu, niezdarnym pismem, przez nieznane ręce...

Pewnego wrześniowego dnia, kiedy o oznaczonej godzinie zadzwoniliśmy w umówiony sposób do mieszkania jednej z naszych nauczycielek (byliśmy wówczas uczniami tajnej I klasy gimnazjalnej), otworzyła nam nasza pani ubrana w... szary mundur harcerski.

Jak było nas trzech — Jurek, Rysiek i ja — tak wszyscy stanęliśmy jak wryci. Dech nam zaparło ze zdumienia, zapomnieliśmy słów powitania. W mroku przedpokoju padło jedno słowo pani Krystyny: „Czuwaj!"

O pani Michalskiej wiedzieliśmy, że przed wojną była drużynową jednej z warszawskich drużyn, że jej mąż, również instruktor harcerski, aresztowany został w 1940 r. przez gestapo i wywieziony do obozu. Nic jednak nie wiedzieliśmy o konspiracyjnym harcerstwie, zwanym Szarymi Szeregami. Stąd też nasze osłupienie, kiedy zobaczyliśmy naszą nauczycielkę w harcerskim mundurze.

...Siedzieliśmy w zaciemnionym pokoju i z wypiekami na twarzy słuchaliśmy opowieści pani Krystyny o istnieniu, mimo panującego terroru okupanta, drużyn harcerskich, o pięknych akcjach odbijania przez warszawskich harcerzy z rąk hitlerowców więźniów pod Arsenałem na ulicy Długiej i w Celestynowie, o zrywaniu hitlerowskich flag, pisaniu kredą na murach domów i płotach symbolów walki z okupantem.

Oczywiście zbędne było pytanie pani Krystyny, czy chcielibyśmy zostać harcerzami i należeć do jednej z takich drużyn. Wyszliśmy tuż przed godziną policyjną z głęboko ukrytą małą książeczką pt. „Kamienie na szaniec", którą otrzymaliśmy do przeczytania, płonącymi policzkami i głowami pełnymi projektów akcji przeciwko hitlerowcom na miarę czynów „Zośki", „Alka", „Rudego" — harcerzy, bohaterów spod Arsenału i Celestynowa.

W kilka dni później pięciu chłopców z naszej klasy stanowiło już zastęp wchodzący w skład 12 Warszawskiej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta. Na pierwszej tajnej zbiórce ustaliliśmy sieć alarmową zastępu, jego godło (zastęp „Wilków"), dokonany też został podział funkcji. Mnie przypadła funkcja podzastępowego i kronikarza. Przed nami był program na pierwszy stopień — młodzika i przyrzeczenie, po złożeniu którego mieliśmy stać się prawdziwymi harcerzami.

Przez kilka tygodni na zbiórkach chłonęliśmy tajniki wiązania węzłów z ćwiczeniami praktycznego ich stosowania, ćwiczyliśmy musztrę, meldowanie, uczyliśmy się prawa i przyrzeczenia harcerskiego, udzielania pierwszej pomocy, różnych sposobów porozumiewania się alfabetem Morse'a, np. sygnalizacji oczami (dwoje oczu przymkniętych — kreska, jedno oko — kropka. W ten sposób można było się porozumieć w tramwajowym tłoku, wśród szpicli itp.). Odbyliśmy też wiele ćwiczeń na spostrzegawczość w terenie. Np. rozróżnianie typów samochodów, wojskowych stopni hitlerowskich, notowanie w pamięci ilości przejeżdżających samochodów niemieckich na określonym odcinku i w określonym czasie, wyszukiwanie tajemnych przejść z podwórka na podwórko i z ulicy na ulicę. Przy okazji myszkowania po różnych podwórkach zdobywaliśmy wiadomości, gdzie mieszkają Niemcy i tzw. volksdeutsche.

Pewnej lutowej niedzieli wyjechaliśmy do podwarszawskiej miejscowości Struga, gdzie po raz pierwszy znaleźliśmy się wśród tak wielkiej gromady harcerzy — była to bowiem koncentracja całego roju, czyli hufca, w skład którego wchodziło kilka drużyn zawiszackich. W lesie, choć była to zima, zaprawialiśmy się do życia biwakowego, poznawaliśmy pionierkę obozową, odbywaliśmy gry terenowe z czołganiem, tropieniem znaków patrolowych, maskowaniem się, ćwiczenia terenoznawcze i sygnalizacyjne.

Wypady do lasów w Strudze, Chojnowie, Swidrze często dokumentowane były zerwaną na peronie dworca flagą hitlerowską, czy mieczykiem odciętym od pasa chłopaka z Hitlerjugend. Udawało się to dzięki tłokowi w pociągach i ogromnemu ruchowi na dworcach.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany moment przyrzeczenia.

Ambicją każdego zastępu zawiszackiego, przygotowującego się do tej uroczystej zbiórki, było składać je, mając pod nogami hitlerowską flagę.

Poczyniliśmy odpowiednie przygotowania, otoczyliśmy pustą o tej porze szkołę czujkami. Byliśmy ostrożni — po drugiej stronie ulicy znajdowały się hitlerowskie koszary. Punktualnie o godz. 17.30 jeden z „wilków" czuwający przy wejściowych drzwiach zameldował zastępowemu o zjawieniu się kogoś obcego. Zastępowy rozpoznał komendanta roju dh Lecha. Zarządził, jako podzastępowy, zbiórkę. Zdałem dh Lechowi raport, meldując zastęp gotowy do przyrzeczenia.

Komendant roju wygłosił gawędę o Ojczyźnie i niewoli, o nauce i

działaniu, o bohaterstwie i przyjaźni. Następnie padła komenda: „Do przyrzeczenia!".

Biało-czerwona banderka przytwierdzona do harcerskiej laski-drzewca opuszczona została wzdłuż szyku zastępu. Na komendę zrobiliśmy dwa kroki w przód, wstępując na czerwień materii ze znienawidzoną sfastyką hitlerowską. W piersiach pięciu „Wilków" mocniej załomotało pięć serc. Dwa palce wyciągniętych prawych rąk spoczęły na biało-czerwonej banderze. Zabrzmiały zgodnym rytmem, powtarzane za druhem Lechem, słowa przyrzeczenia.

Tego lutowego wieczoru 1944 roku staliśmy się prawdziwymi harcerzami. Złożyliśmy przyrzeczenie całym swym życiem wiernie służyć Ojczyźnie...

...Służyć Ojczyźnie, to przede wszystkim szkodzić znienawidzonemu wrogowi.

Zaczęliśmy, wzorem Alka Dawidowskiego, bohatera książki „Kamienie na szaniec", od szyb. Otóż w gablotach niektórych warszawskich fotografów wystawiane były zdjęcia hitlerowców. Alek zasłynął między innymi z tłuczenia gablot i wydzierania z nich fotografii niemieckich żołdaków, żeby nie szpeciły wyglądu warszawskiej ulicy. Ponieważ w naszej dzielnicy, na Czerniakowie, nie było tego rodzaju gablot, postanowiliśmy „wywalić" szyby w lokalu niemieckim, aby chociaż przez jedną noc hitlerowcom powiało mroźne czerniakowskie powietrze.

O zmroku udaliśmy się we trzech na róg Stępińskiej i Podchorążych, gdzie, nie opodal koszar niemieckich, strzeliliśmy z proc, tłukąc szyby w oknach willi zajętej przez wyższych oficerów hitlerowskich...

Nazajutrz wieczorem, po zamknięciu sklepów (w naszej okolicy, na Czerniakowie prawie wszystkie sklepy były własnością Niemców) poszliśmy we dwóch, czyli Rysiek i ja, na inną akcję. Tym razem naszą bronią była puszka z ciemnoszarą farbą olejną i pędzel. Wzorem zaś kotwica — symbol Polski Walczącej, którą już nieraz oglądaliśmy, wymalowaną rękami starszych harcerzy na cokole pomnika Lotnika na placu Unii Lubelskiej.

Tym właśnie znakiem ozdobiliśmy witryny niemieckich sklepów: Rota na ul. Sukcesorskiej (obecnie Gagarina), Klotza, przy ul. Sieleckiej, Grafa na ul. Janowskiej. W tych właśnie sklepach nasi rodzice i wszyscy okoliczni mieszkańcy zaopatrywali się w nędzne racje żywnościowe, przydzielane na kartki.

Nazajutrz z satysfakcją słuchaliśmy komentarzy mieszkańców, że... Polska Walczy już i na naszej małej uliczce...

CDN.

„RUDY" — to pseudonim Janka Rytnara, harcmistrza, dowódcy plutonu harcerskich Grup Szturmowych. Aresztowany przez gestapowców, podczas przewożenia go na kolejne badania, odbity zostaje 24 marca 1943 r. przez oddział GS na skrzyżowaniu ulic Bielańskiej i Długiej, pod Arsenałem w Warszawie. Zmarł 30 marca 1943 r. na skutek zadanych mu przez gestapowców tortur. Odznaczony Krzyżem Walecznych.

Jego imieniem „Rody" nazwana została kompania GS w batalionie „Zośka".

„ALEK" — Aleksy Dawidowski, podharcmistrz, dowódca drużyny, pierwszy z członków harcerskich Grup Szturmowych, który udekorowany został krzyżem Virtuti Militari. W akcji pod Arsenałem, której celem było odbicie „UDEGO" — Alek został śmiertelnie ranny. Zmarł 30 marca 1943 r.

Gwiazdy big-beatu i piosenki

Ewa Demarczyk

POZNANO ją w czerwcu 1963 roku na pierwszym festiwalu w Opolu. Potem przyszedł Festiwal w Sopocie, występy w paryskiej Olimpii, ponownie Opole, znów dwukrotnie Sopot, ostatnio Warszawa — oto ważniejsze występy Ewy Demarczyk.

Choć koncertuje rzadko, nagrywa jeszcze mniej, to jednak każdy ją zna, pamięta jej nazwisko i chętnie słucha jej piosenek, z których właściwie żadna nie miała szans, by stać się przebojem. Piosenki Ewy Demarczyk są bowiem trudne, a jednak zrobiły karierę.

Zaczęła śpiewać w Krakowie w Kabarecie Studentów Akademii Medycznej „Cyrulik". Szybko jednak zorientowała się, że nie odpowiada jej ten rodzaj piosenki. Przeszła więc do znanej z ambitnych tekstów i słynnej, nie tylko w Krakowie, ale w całej Polsce, „Piwnicy pod Baranami". Tam spotkała się z kompozytorem Zygmuntem Koniecznym, który zaczął komponować dla niej piosenki.

Tekst do tych piosenek był najczęściej dobierany z poezji dawniejszej a i tej nowoczesnej. Dramatyczne, oryginalne, o ciekawej interpretacji aktorskiej teksty, połączone z odpowiednią muzyką, stanowiły interesujące utwory wokalno-muzyczne. Ewa Demarczyk, ze swym niskim głosem, była ich świetną odtwórczynią.

Pierwszą piosenkę tego typu do słów Mirona Białoszewskiego z muzyką Z. Koniecznego pt. „Karuzela z madonnami" zaśpiewała Ewa Demarczyk jeszcze jako studentka Krakowskiej Wyższej Szkoły Aktorskiej na Ogólnopolskim Studenckim Konkursie Piosenkarzy Amatorów. Zajęła II miejsce, ale jako „gwiazda" została odkryta dopiero (jak już wspomniałam na wstępie) na Opolskim Festiwalu w 1963 r.

Zaśpiewała tam „Karuzelę z madonnami", „Czarne anioły" (muzyka Konieczny i słowa Dymny) i „Pejzaż" (tekst Fabera). Zachwyciła wszystkich, a interpretacja tych trzech piosenek zdobyła najwyższe uznanie jurorów i publiczności.

Kolejny sukces nastąpił w paryskiej Olimpii (kwiecień 1964 r.), gdzie wszyscy dziennikarze zrobili z naszej piosenkarki Ormiankę, zwiedzeni jej ciemną cerą i oryginalną urodą. Pisali o niej także jako o „następczyni Edith Piaf".

Po powrocie do kraju nazwisko Ewy Demarczyk znów powróciło na łamy polskiej prasy. Przyczyniła się do tego następna piosenka w jej wykonaniu i w kompozycji Z. Koniecznego. Była to słynna już dziś piosenka „Grande Valse Brillante" do słów J. Tuwima (z „Kwiatów Polskich"). „Grande Valse Brillante" podbił bez reszty festiwalową publiczność i zdobył II miejsce, ustępując tylko „Tańczącym Eurydykom", śpiewanym przez Annę German.

Oczywiście te masowe sukcesy znakomitych, choć trudnych, kompozycji Koniecznego są niezaprzeczalną zasługą ich wykonawczyni, Ewy Demarczyk, która w jakiś sobie tylko wiadomy sposób „działa" na publiczność. Śpiewa piosenki dramatycznie, melancholijnie, poetycko, smutno, ma swój właściwy styl, swoją indywidualność.

Repertuar Ewy Demarczyk nie jest zbyt obszerny. Obok wspomnianych już piosenek znane są: „Garbus", „Taki śmieszny jesteś pod oknem", „Groszki", „Pocałunki", „Wiersze Białoszewskiego", „Wiersze Baczyńskiego", a także i lżejsze takie jak: „24 000 pocałunków", „Rebeka", „Ja kocham ciebie" i inne.

A. WIELGOŁAWSKA

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA

Z dwudziestu czterech patyczków ułożono dziewięć kwadratów.

I. POSTARAJ SIĘ ZMNIEJSZYĆ ILOŚĆ KWADRATÓW DO 5 PRZEZ ODJĘCIE 4 PATYCZKÓW.

II. ZMNIEJSZ ILOŚĆ (5) KWADRATÓW DO 3 PRZEZ ODJĘCIE 6 PATYCZKÓW.

Rozwiązanie narysuj!

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie lub karcie pocztowej: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

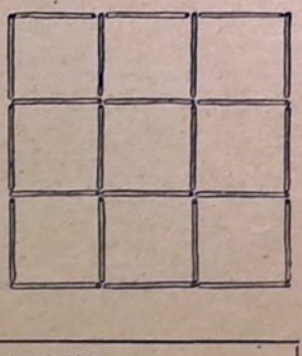

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.08, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 424. T-47

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24

Spacer po nieznanym mieście

PORT nad Bałtykiem, stolica Łotwy, stare miasto nad rzeką Daugawą — oto co wie o Rydze przygodny turysta, zapuszczając się po raz pierwszy w nieznane ulice. Wychodząc z reprezentacyjnego hotelu „Riga", po prawej ręce, tuż za budynkiem Domu Towarowego, mamy wąziutkie uliczki średniowiecznej Rygi, a na lewo tętni nowym życiem współczesne miasto. W którą stronę się udać?

Chwila namysłu i już stoimy w samym centrum pod zegarem, gdzie najczęściej umawiają się sami ryżanie. Wzdłuż ciągnie się szeroka ulica im. Lenina, które to imię po łotewsku kończy się oczywiście na s. Oglądając reklamy, wystawy, afisze na słupach ogłoszeniowych szybko spostrzegamy, że wszystkie rzeczowniki w tym języku kończą się na s. Wiedza ta jednak niczego nam nie ułatwia i tak nie rozumiemy ani napisów, ani rozmów przechodniów. Język to dla Polaków nieco dziwny i do żadnego niepodobny.

A ulice, jak ulice: na pierwszy rzut oka wydają się takie same jak we wszystkich miastach. Wkrótce jednak dają się zauważyć i różnice — nieznane miasto odsłania nam swoje indywidualne oblicze.

Ikebana a la Ryga

MIASTO ogrodów, parków i skwerów — miasto zieleni z malowniczo tu i ówdzie przerzuconymi mostkami przez liczne kanały. Co krok napotykamy wymyślne gatunki drzew i krzewów. Zieleń zajmuje ponoć jedną trzecią powierzchni miasta, a na każdego mieszkańca przypada jej aż 13 m².

Ryżanom jeszcze i tego mało i każdy we własnym mieszkaniu zakłada swój indywidualny ogródek... w doniczkach. W sklepach zachęcają do kupna oryginalne naczynia do kwiatów, niezwykłe formy doniczek, a w kwiaciarniach ikebany à la Ryga. Bowiem tylko ryżanie wpadli na pomysł sadzenia kwiatów na kamieniu. Kamień to wprawdzie niezwykły, porowata skała przypominająca zwiniętą kamienną koronkę. W liczne otwory nieforemnych odłamków tej skały ryżanie sypią ziemię i wsadzają w nią rozmaite gatunki małych kaktusów. Powstaje w ten sposób coś w rodzaju naturalnej ikebany.

Samochód za parę groszy

W CIEPŁE dni gromadzą się w parkach i na skwerach najmłodsi mieszkańcy miasta. Każdy z nich bawi się jakąś zabawką i to nie byle jaką. Oto kilkoro dzieciaków siedzi za kierownicami wspaniałych samochodów. Ścigają się po alejach parku i trąbią donośnie. Inni gnają za nimi na zmotoryzowanych hulajnogach, drezynach i rowerach. Któż to tak hojnie obdarował ryską dzieciarnię?

Wkrótce znajduje się wyjaśnienie. W parku na niewielkim budyneczku widnieje napis: „Wypożyczalnia zabawek", a obok wisi cennik. Okazuje się, że samochód do zabawy w parku można wynająć za niedużą opłatą. Komu się jazda samochodem znudzi, wymienia go na rower, albo i na zwykłą piłkę. Wypożyczalnia zabawek — pomysł godny naśladowania. A może by tak i u nas?

Zabytkowa Prochowa Wieża z XIII wieku.

Sala koncertowa w kościele

KIERUJĄC się do hotelu na prawo, wkraczamy w wąskie uliczki starego miasta. Można tu podziwiać style architektoniczne wielu epok: gotyk obok budowli romańskich, renesans sąsiaduje z barokiem. Nazwy ulic zachowały coś z atmosfery średniowiecznej Rygi: Smilsu — Piaskowa, Audeju — Tkacka, Kaleju — Kowalska, Miesnieku — Rzeźnicka. Potężne składy i spichrze pamiętają jeszcze świetność słynnego bałtyckiego portu z XV i XVI wieku.

Miasta, jak i ludzie, mają swoje życiorysy, a biografia Rygi jest długa i liczy sobie prawie 750 lat. Życiorys miasta bogaty w wydarzenia historyczne wspomina o walkach mieszkańców z Niemcami, ze Szwedami, a i z Polakami także. Tu gościł szwedzki król Gustaw Adolf i nasz Stefan Batory.

Pierwsza katedra w Rydze zbudowana z drzewa spaliła się w czasie wielkiego pożaru w 1215 roku. Na tym miejscu powstał kościół murowany, który dziś słynie z odbywających się tam koncertów organowych. Wieczorem stara katedra zamienia się w koncertową salę. W głównej nawie stoją rzędy krzeseł jak w teatrze, a wysoko na chórze występują sławni

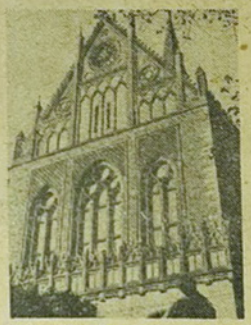

Ozdobny fronton budynku, w którym mieści się dziś Akademia Sztuk Pięknych.

łotewscy, a nierzadko i zagraniczni śpiewacy.

W przerwie koncertu słuchacze krążą w milczeniu po klasztornym dziedzińcu. Podniosły nastrój koncertu nie znika nawet, gdy ucichną już organy i „anielskie" śpiewy wysoko na chórze. Wracającym z koncertu długo brzmią tony starej organowej muzyki, gdy przeciskają się przez wąskie uliczki, spoglądając na ozdobne koronkowe sylwetki średniowiecznych domów. Trudno o lepsze tło dla takich koncertów.

Jedźmy do Rygi

JUŻ widzę dziwny uśmiech na wielu twarzach. Są bowiem jeszcze tacy, którym się kojarzy nazwa tego pięknego miasta z brzydką morską chorobą. A tymczasem znane u nas powiedzenie: „Jechać do rygi", pochodzi z języka rosyjskiego i wiąże się raczej z nie najlepszymi obyczajami dawnej ruskiej szlachty.

Pijanego szlachcica, który już na własnych nogach nie mógł się utrzymać, wsadzano na konia i przez podwórze wieziono do rygi, czyli do stodoły. Stąd też wzięło się powiedzenie, które „ni z juszki ni z pietruszki" przyczepia się do porządnego miasta.

Czas więc już pozbyć się niewłaściwych skojarzeń. Jedźmy do Rygi podziwiać wdzięk dawnych wieków, zachowany w starej części miasta i urok młodości wyrażający się w nowoczesnym przemyśle, bogactwie zieleni, a nawet w zapachu ryskich perfum, które z powodzeniem konkurują z paryskimi. Nie darmo nazwano kiedyś Rygę Paryżem Północy.

B. TYLICKA
Foto A. Szapiro

Tu w śródmieściu pod zegarem najczęściej wyznaczają sobie spotkania mieszkańcy Rygi.

KTO SIĘ POZNAŁ NA ŻARCIE?

● Krótko mówiąc, poznało się bardzo wielu. Odczytali, że ogłoszenie o szkole muzycznej JANKA MUZYKANTA jest primaaprilisowym żartem. Wysoka Komisja wyłoskwała kartę Basi Nowak — Ujście, pow. Chodzież, Plac Wiosny Ludów 2. Specjalność fortepian. W nagrodę wysyłamy płytę z nagraniem Chopina. Nie na tym jednak koniec.

Pozostałych uczestników primaaprilisowego konkursu zapewniamy, że na ich życzenie ukaże się wkrótce specjalny, muzyczny „Supersam", gdzie będą zamieszczone pytania i odpowiedzi na muzyczne tematy.